

TEMATY
TYGODNIA

- 10 Mariusz Janicki,
Wiesław Władyka
**Dziesięciu
na jednego**
- 12 Janina Paradowska
**Do czego
służy prezydent**
- 16 Justyna Prus
**Nowe i stare
mity rosyjskie**

OGŁĄD
I POGLĄD

- 20 Marcin Król
**Specjalne studia
tylko dla zdolnych**

SPOŁECZEŃSTWO

- 22 Agnieszka Sowa
Selfie odmóżdzenie
- 25 Joanna Cieśla
**Która szkoła lepsza:
niepubliczna
czy państwowa?**
- 28 Violetta Krasnowska
SKOK blisko WSI
- 30 Marta Mazuś
**Fryzjer
dla bezdomnych**
- 32 Ryszarda Socha
**Rozmowy
przy wycinaniu lasu**

RYNEK

- 36 Adam Grzeszak
Moda na wypożyczanie
- 39 O tym, że nie warto
zaciskać pasa – rozmowa
z **prof. Markiem Blythem**

PORADNIK
BUDOWLANY

- 44 Urszula Szyperska
Eko-dom

ŚWIAT

- 54 Adam Szostkiewicz
**WIELKA BRYTANIA
Zdecydują Szkoci**
- 58 Łukasz Wójcik NEPAL
**Dyplomacja
w cieniu katastrofy**
- 61 Ignacy Niemczycki
Tomasz Walat DANIA
**Margrethe Vestager
podniosła rękę
na Google**



16 Majowa defilada mitów



22 Fotografuję, więc jestem



72 Cywilizacja pachnąca piwem



90 Literacka banda czterech

HISTORIA

- 64 Andrzej Fedorowicz
**Walka o Texel
– ostatnia bitwa
drugiej wojny**
- 67 NAGRODY
HISTORYCZNE POLITYKI:
nominacje
- 70 Rafał Stobiecki
Piłsudskich dwóch

NAUKA

- 72 Agnieszka Krzemińska
Skąd się wzięło piwo
- 76 Andrzej Hołdys
**Czy kataklizm da się
przewidzieć**

KULTURA

- 82 Rozmowa z reżyserem
**Juliano Riberio
Salgado** o jego ojcu,
legendarnym
fotoreporterze,
Sebastião Salgado
- 86 Aktor **Andrzej Chyra**
o tym, jak się robi operę
z „Czarodziejskiej góry”
- 89 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 90 Justyna Sobolewska
**Grupa trzymająca
pióra**
- 93 KAWIARNIA LITERACKA
Szczepan Twardoch

LUDZIE I STYLE

- 94 Paweł Walewski
**Choroby mają
ambasadorów**
- 98 Marta Zaraska
**Mięso bez mięsa
hodowane w domu**

NA WŁASNE
OCZY

- 108 Marcin Kołodziejczyk,
fotografie Stanisław Ciok
**UKS Spartanie
Zahutyń**

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 5 Ludzie i wydarzenia
- 78 Afisz • 102 Passent
- 104 Stomma • 105 Tym
- 106 Do i od redakcji • 107 Fusy
- 114 Polityka i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer

felieton



Dola posła

Gdy oglądam w telewizji jednego zadowolonego z siebie polityka napadającego na innego zadowolonego z siebie polityka, to często myślę o tym, ile mnie to kosztuje, dochodzę do wniosku, że zbyt dużo, i w celu zmniejszenia kosztów wyłączam telewizor. Niedawno się dowiedziałem, że te moje wysokie koszty biorą się z niskiego poziomu naszych polityków spowodowanego tym, że oni za mało zarabiają. „Politykami powinni zostawać ludzie zdolni, którzy poprowadzą kraj w dobrym kierunku. Musi im się to jednak przede wszystkim opłacać” – zdradził na łamach „Rzeczpospolitej” były poseł SLD Tadeusz Gawin, obecnie wiceszef Stowarzyszenia Parlamentarzystów Polskich. Niestety na razie, zdaniem Gawina, nie opłaca im się. Weźmy, powiada, skandalicznie niskie uposażenie polskiego posła, które razem z dietą wynosi

w przeliczeniu ok. 3,1 tys. euro, podczas gdy parlamentarzysta słowacki otrzymuje 5,9 tys., brytyjski 7,9 tys., a francuski nawet 13,1 tys. euro. W tej sytuacji „w Polsce posłem opłaca się zostać tylko przedstawicielom słabo opłacanych zawodów. Wynika z tego niski poziom polityki” – ocenia Gawin.

Oczywiście widzimy, że do Sejmu garną się niedojadający pracownicy nauki wyższych uczelni, klepiący biedę absolwenci filozofii, zubożali publicyści, jest też kilka pielęgniarek. Próżno jednak szukać tam hydraulików, glazurników, informatyków i komorników czy choćby ich asystentów. Smutna prawda jest taka, że na pozyskanie tych ludzi jeszcze długo nie będzie stać polskiego parlamentaryzmu i dlatego nadal będą w nim występować różne niekorzystne zjawiska, takie jak poseł Brudziński czy posłanka Kempa. Tymczasem Francuzi, Słowacy i Brytyjczycy płacą i mają wyniki.

Francuskiego, brytyjskiego czy nawet słowackiego parlamentarzystę stać na to, żeby w radiu lub telewizji był odprężony i nieawanturujący się. Nasi posłowie, za niewielkie pieniądze, które dostają, są zaraz bardziej agresywni, bez przerwy sobie przerywają, a niektórzy mają trudności ze skłeceniem po polsku sensownego zdania, w którym udałoby się im nikogo nie obrazić.

Pytanie, czy od tak nisko opłacanego posła można oczekiwać czegoś więcej? Osobiście uważam, że nie. Zgadzam się z Gawinem, że wymaganie, aby za 3,1 tys. euro razem z dietą polski poseł przywoicie wykonywał swoją pracę i jeszcze „prowadził kraj w odpowiednim kierunku”, to czysty wyzysk. Dobrze, że za te pieniądze polskiemu posłowi w ogóle chce się siedzieć w Sejmie, gdzie jak wiadomo tanio nie jest, zamiast iść tam, gdzie mógłby przywoicie zarobić i podwyższyć swój poziom.

Na kogo i dlaczego



Po nużącej kampanii wreszcie wybory – i albo już koniec, albo dogrywka. Czytelników, którzy zamierzają w niedzielę głosować na panów Andrzeja Dudę, Pawła Kukiza, Janusza Korwin-Mikkego, panią Magdalenę Ogórek czy innych kandydatów na urząd prezydenta, chciałbym ostrzec, że tekst ten będzie zawierał sugestie, na kogo głosować i dlaczego na Bronisława Komorowskiego. Zwykle przed wyborami nasza gazeta unikała konkretnych wskazań, ale te wybory są kompletnie nienormalne, bo mamy właściwie tylko jednego kandydata poważnie ubiegającego się o prezydenturę kraju – i wykazującego należyte kompetencje – oraz całe grono kandydatów zastępczych, pozornych lub do czego innego.

Fakt, że żadna z dużych partii nie wystawiła do rywalizacji swojego lidera, ba, nawet nie osobę z drugiego rzędu, to jakieś polityczne kuriozum. Można powiedzieć, że pośrednio też oddali głosy na Bronisława Komorowskiego. Oczywiście, że w kampanii była rywalizacja i może nawet dojdzie do drugiej tury, bo z wyborów prezydenckich zrobiły się prawybory parlamentarne, ale jeśli przyjąć hipotezę, że jednak wybieramy prezydenta, to nie ma innego kandydata serio poza ubiegającym się o reelekcję. Ta uwaga dotyczy także Andrzeja Dudy, który w ewentualnej drugiej turze mógłby zagrozić Komorowskiemu.

Nic nie ujmując miłemu, jak na PiS, działaczowi średnio-młodsze pokolenia partii, jest on stuprocentowym produktem kampanijnym, dowodem na to, że – jak mawiał pewien guru marketingu politycznego – z każdego można zrobić kandydata do wszystkiego. Jeśli z pana Dudy otrząść konfetti, pozostaje mało doświadczony, z króciutkim politycznym życiorysem, kampanijny zastępca prezesa Kaczyńskiego, kandydujący de facto na następcę pana Marcinkiewicza, czyli ewentualnego zastępcę Prezesa w roli ubiegającego się o urząd premiera.

Uff... Zresztą w kampanii, obiecując młodym mieszkańcom, emerytom wyższe emerytury, górnikom węgiel, rodzinom zasiłki itd., pan Andrzej Duda wyraźnie ubiega się o urząd premiera. Jedyne istotniejsze deklaracje w obszarze rzeczywistych kompetencji prezydenta to jakieś dziwaczne stwierdzenie, że nie powinniśmy płynąć w głównym nurcie europejskim oraz że w kwestiach światopoglądowych „ma takie samo zdanie jak biskupi” (co spowodowało uzasadnione pytania, czy pan Andrzej kandyduje również na urząd prymasa?). Poważniej mówiąc, Andrzej Duda jest kandydatem wewnątrzpartijnym, który w ewentualnej drugiej turze może dodatkowo zebrać głosy pozapapisowskich środowisk rozczarowanych rządami PO lub w ogóle polską rzeczywistością A.D. 2015. To może nawet dać dużo głosów, które – jeśli przyszłość jest w ogóle przewidywalna – nie przełożą się ani na sukces w tych wyborach, ani nie zsumują w następnych.

Do drugiej tury, która jedynie przedłuży polityczne teatrum – bo jaki jest Komorowski, każdy wie, i kim nie jest Duda, także wiemy – mogą doprowadzić zbiorowo kandydaci kilkuprocentowi. Sympatyczny Paweł Kukiz, który sam mówi, że nie startuje naprawdę do prezydentury, ale w sprawie jednomandatowych okręgów, bo – jak wierzy, wbrew wszelkim politologicznym danym, ale uparcie – JOW mogą odmienić los kraju. Janusz Korwin-Mikke, jak zawsze w swoich politycznych felietonach śmieszny i straszny; Magdalena Ogórek, która zawstydza nawet najwiewniejszy elektorat SLD i która nie ujawnia swego poparcia dla tej partii, ale za to popiera pewną firmę modową itd.; Adam Jarubas... Przepraszam kandydatów, ale czy naprawdę można i warto sobie wyobrazić, że któraś z tych osób bierze udział w szczytach NATO, jest – w razie czego – odpowiedzialnym, kompetentnym (i zrównoważonym) zwierzchnikiem sił zbrojnych, spotyka się z Obamą czy Merkel; o Putinie już nawet nie wspominam, bo tu kabaretowy monopol ma pani Ogórek. Czym nasz umęczony kraj zasłużył sobie na takie wybory?

Więc znów wracamy do Bronisława Komorowskiego. Pisaliśmy już, że jest dużo lepszym prezydentem niż kandydatem. Myślę, że wiele osób ma poczucie dyskomfortu, patrząc jak stateczny, odpowiedzialny, doświadczony i odważny człowiek musi się kampanijnie wdzięczyć, narażać siebie i godność prezydenta na chamskie, prymitywne i niesprawiedliwe ataki, „bo przecież trzeba zabiegać o głosy”. Rola prezydenta ubiegającego się o reelekcję jest i łatwiejsza, i trudniejsza niż jego rywali, ale takie pokadcencyjne wybory zawsze mają charakter plebiscytu za czy przeciw urzędującemu. Do tego się to sprowadza. W naszej opinii Bronisław Komorowski bardzo dobrze dał sobie radę w tych konstytucyjnych i politycznych warunkach, w jakich sprawował urząd.

Mówiąc kolokwialnie, prezydent pełni w naszym ustroju rolę stabilizatora, bezpiecznika, symbolu i lepszego państwa – i w tych rolach Komorowski jest dziś nie do zastąpienia. Gdyby w tych wyborach był jakiś poważny (z naciskiem na powagę) kontrkandydat dla prezydenta Komorowskiego, powiedziałbym jak przy wszystkich poprzednich kampaniach: wyrażamy swoją opinię, jak na tygodnik opinii przystało, a prosimy jedynie o namysł i uważny wybór. Ale tym razem? Mówimy z całym przekonaniem: niechby i w drugiej turze, ale wobec niepokoju i rozedrgania dzisiejszego świata lepiej by było dla Polski, gdyby Bronisław Komorowski pozostał prezydentem Rzeczypospolitej.

JERZY BACZYŃSKI

Analiza przedwyborcza – s. 10; Po co jest prezydent – s. 12.

Ministra czas rozpadu

Ewa Kopacz jest nie tylko premierem. Do chwili zaprzysiężenia **Borysa Budki**, następcy ministra Cezarego Grabarczyka, pełniła też obowiązki ministra sprawiedliwości. Ustawa z 1996 r. mówi, że „w razie nieobsadzenia stanowiska ministra lub jego czasowej niezdolności do wykonywania obowiązków” ministra zastępuje premier bądź inny wskazany przez niego członek rządu. Wcześniej do czasu znalezienia czy uzgodnienia kandydata na nowego ministra premierzy wyznaczali kierownika resortu (najczęściej zastępcę odwołanego ministra). Li-



© GRZEGORZ CELEJWSKI/AGENCJA GAZETA

cząc od 12 września 1989 r. (dnia zaprzysiężenia rządu Tadeusza Mazowieckiego), Ewa Kopacz była (chwilowo) 28 szefem resortu sprawiedliwości (zmieniają się średnio co 11 miesięcy). I nawet jeśli z ich grona wyłączymy Andrzeja Marcinkowskiego (kierownik resortu przez 11 dni w 1991 r.) i premierów pełniących obowiązki ministra (poza Ewą Kopacz byli nimi Jerzy Buzek – 8 dni, Jarosław Kaczyński – 4 dni, Donald Tusk dwukrotnie – 3 dni), to i tak gospodarz gabinetu ministra sprawiedliwości wymieniany był co 14 miesięcy. Czy przy takiej rotacji ministrów można przeprowadzić jakąś istotną reformę wymiaru sprawiedliwości?

Przez ostatnie ćwierć wieku co rok mamy też nowego ministra spraw wewnętrznych (26 osób). Jeśli i tu odliczymy

kierowników i premierów w roli p.o. ministra, to okaże się, że wymiana ministra w MSW/MSWiA dokonuje się co 14 miesięcy. Kadrowa karuzela z ministrami rolnictwa (było ich 26) najszybciej kręciła się przez 16 miesięcy rządu premiera Jarosława Kaczyńskiego. Ministrami wtedy byli: Andrzej Lepper (dwukrotnie), sam Kaczyński (dwukrotnie – przez 47 dni) i Wojciech Mojzesowicz. Resort finansów miał 24 włodarzy, a zdrowia – 23 (przez 11 dni był nim premier Tusk). Za majątek państwa w Ministerstwie Przekształceń Własnościowych, a dziś Skarbu, też odpowiadały 23 osoby.

Mieliśmy już 18 ministrów obrony i kultury oraz 17 edukacji. Jeśli w tych resortach odliczymy kierowników i premierów w roli ministra, to pozostali ministrowie zasiadali tam średnio przez dwa lata. Najbardziej stabilną posadę w polskim rządzie ma minister spraw zagranicznych. Zajmowało ją dotąd 12 osób (Władysław Bartoszewski dwukrotnie), każda przez nieco ponad 2,5 roku. Ze wszystkich ministrów najkrócej był nim Wojciech Rudnicki, który już po 17 dniach po zaprzysiężeniu zrezygnował ze stanowiska ministra zdrowia, a najdłużej – minister nauki Barbara Kudrycka oraz finansów Jacek Rostowski (oboje dwukrotnie, 6 lat i 11 dni). **(M.H.)**

Jan Koza.....



Skąd kandydaci mają pieniądze

Komitet wyborczy kandydata na prezydenta może wydać na kampanię do 18 319 797 zł, pochodzących z trzech źródeł: z wpłat od obywateli (zamieszkałych w Polsce), z kredytu i z funduszu wyborczego partii popierającej kandydata. Wyborcy wolno wpłacić do 26 250 zł. Sam kandydat ma prawo wyłożyć na siebie do 78 750 zł. Komitety najpóźniej po 7 dniach muszą ujawnić każdą wpłatę powyżej 1750 zł, podając w rejestrze dostępnym w internecie imię, nazwisko i miejsce zamieszkania darczyńcy.

Do 3 maja żadnych wpłat nie podano w rejestrach komitetów **Bronisława Komorowskiego i Andrzeja Dudy**. Na ich stronach nie ma nawet numeru konta. Zapytane o to Biuro Wyborcze Komorowskiego odpisało: „w związku z nałożonymi limitami w tym momencie nie ma możliwości wpłat na kampanię naszego kandydata”. Ci kandydaci finansowani są z funduszu wyborczego PO i PiS i tylko oni mają ten komfort.

Zrejestrowanych wynika, że własne pieniądze w kampanii zainwestowali **Janusz Palikot** (18 tys. zł) i **Adam Jarubas** (10 tys.). Nazwiska **Magdaleny Ogórek** nie ma w rejestrze wpłat jej komitetu, choć ujawniono tam wpłatę 13,37 zł od sympatyka z Supraśla. Kandydatkę tę największą kwotą (po 5 tys. zł) wsparli liderzy SLD Leszek Miller i Krzysztof Gawkowski. Jej komitetowi obiecano milion złotych z funduszu wyborczego SLD, w 2010 r. Grzegorz Napieralski dostał 3,13 mln zł. Komitet Jarubasa kwotami po 26 250 zł (pełny limit) wsparli Piotr i Zbigniew Komorowscy, producenci jogurtów i przetworów zbożowych. Wśród darczyńców są też: członek zarządu województwa świętokrzyskiego, w którym Jarubas jest marszałkiem (10 tys. zł), dyrektorka samorządowej szkoły (22 tys. zł), były prezes Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa (10 tys. zł) i kilkunastu peeselsowskich radnych, posłów i wiceministrów. Minister rolnictwa Marek Sawicki wpłacił 5 tys. zł.

Pawła Kukiza najhojniej (20 tys. zł) wsparł Piotr Niesobski z Oławy, a **Janusza Korwin-Mikkego** – przedsiębiorca z Gorzowa Robert Anacki (16 tys. zł) i eurodeputowany Robert Iwaszkiewicz (10 tys. zł). Dwaj inni eurodeputowani z Kongresu Nowej Prawicy, Michał Marusik (12 tys. zł) i Stanisław Żółtek (6 tys. zł), wsparli z kolei kandydata **Jacka Wilka**. Korwin-Mikke na stronach swojej partii podał, że dotąd zebrał już 631 tys. zł. To trzy razy więcej niż przez całą kampanię w 2010 r. W tej kampanii niektórzy kandydaci odnieśli, jeśli nie wyborczy, to finansowy sukces, ale w jej kosztach wpłaty od wyborców nadal będą marginesem (w 2010 r. wszystkie komitety wydały 37,36 mln zł, w tym 676 tys. zł od wyborców).

MAREK HENZLER

Dymisje i awanse

Cezary Grabarczyk rozstał się ze stanowiskiem ministra sprawiedliwości w tempie ekspresowym. Raz jeszcze okazało się, że to najbardziej gorące krzesło w rządzie, choć nie bardzo wiadomo, gdzie znajduje się urządzenie podgrzewające. Jeśli – jak to często bywa – w prokuraturze ciekącej informacjami, to o optymizm trudno. Prokuratura pojawiająca się pod koniec prezydenckiej kampanii, i to w sprawie niejasnej, zaufania nie budzi. Wprawdzie od lat słyszymy, że prokuratorzy pracują zgodnie z własnym kalendarzem, ale jakoś dziwnie się składa, że ich decyzje zbiegają się z kalendarzem politycznym.

Doświadczenie uczy więc, że z tzw. sprawy Grabarczyka w sensie prawnym nic nie wyniknie, ale dymisja już jest. Podobnie nic nie wynikło z umorzonych właśnie przez prokuraturę poselskich „kilometrówek”. Od początku sprawa była merytorycznie jasna, ale politycznie i medialnie rozdęta ponad miarę. Dwudziestka posłów załapała się do śledztwa dlatego, że chciano utracić marszałka Radosława Sikorskiego, a potem w ogólnym zapale śledzenia zaczęto wzajemnie na siebie donosić. Może zamiast sprawdzać liczniki samochodów prokuratorzy w tym czasie mogliby się zająć ważniejszymi sprawami, np. lepiej przygotować się do wejścia w życie nowego Kodeksu postępowania karnego albo przyspieszyć postępowanie w sprawie madryckich wycieczkowiczów z PiS, które – o czym przy okazji przypomniano – nadal trwa. A tak trzy prokuratury – w Łodzi, Olsztynie i Ostrowie Wielkopolskim zajmowały się jedną podsłuchaną rozmową, z której nic nie wynikało. Jeśli tak ma wyglądać ekonomika pracy prokuratury, to pod rządami nowej procedury karnej wypada życzyć powodzenia. Będzie wielka katastrofa. Prezydium Sejmu mogłoby natomiast uprościć wreszcie system rozliczania pieniędzy tak, aby poseł wiedział, że dostaje pewną pulę, którą może dowolnie dysponować. Może prezydium Sejmu odważy się wreszcie rzecz poważnie uregulować?

Dymisja ministra Grabarczyka, bez względu na to, która z wersji jest prawdziwa (pani premier ją wymusiła, demonstrując swoje zdecydowanie, czy też minister sam przyszedł z gotowym papierem; druga wydaje się bardziej autentyczna), to uprzedzenie ciosu, choć mówi się głównie o wysokich standardach. Dotychczas dyskwalifikujące było postawienie zarzutów, a nie przesłuchanie w charakterze świadka. O pozwolenie na broń (skąd u polityków ta mania zbrojenia się?) w niejasnych okolicznościach ubiegał się także poseł PiS i gdy rzecz wyciekła, został natychmiast za-



wieszony. Szybciej niż minister zdymisjonowany. Można więc domniemywać, że gdyby dymisji nie było, następnego dnia byłby wniosek opozycji o wotum nieufności dla ministra. Przy okazji PiS podbiło nadzwyczajnie wysokość obowiązujących w polityce standardów – posła z Łodzi zawieszono jeszcze przed przesłuchaniem, a Mariusz Kamiński mimo wyroku bezwzględnego więzienia jest nadal wiceprzewodniczącym partii. I wszyscy, łącznie z mediami, tak chętnie polującymi na Grabarczyka, udają, że nic się nie dzieje. A jeśli już się dzieje, to Kamiński jest wzorem, nawet dla Andrzeja Dudy, kandydata na prezydenta, choć przecież to prawnik z wykształcenia, a więc rangę zarzutów powinien rozpoznać. Najwyraźniej dla Kamińskiego w PiS piszą zupełnie inne standardy.

Zdymisji kolejnego ministra sprawiedliwości trudno się cieszyć w sytuacji, gdy w tym akurat resorcie dzieją się sprawy wagi podstawowej. Od 1 lipca wchodzi w życie nowa procedura karna i właśnie prokuratura stawia tu najpoważniejszy opór, postulując odłożenie zmian przynajmniej o pół roku. Nie bez racji. Nie ma bowiem nowej ustawy o prokuraturze, którą obiecywał jeszcze Jarosław Gowin (tak intensywnie zajął się ideologią gender, że na sprawy resortowe czasu mu nie starczyło). W kodeksach tyle zmian przeprowadzono w ostatnim czasie, że te wszystkie klocki trudno ułożyć w jedną całość. Borys Budka, nowy minister sprawiedliwości, ma więc co robić, ale czy sprostą? Wprawdzie od dawna już nie było takiej sytuacji, że nominacja szefa tego resortu spotkała się z powszechnym uznaniem i życzliwością, ale doświadczenia ministerialnego Borys Budka nie ma. Wprawdzie ponad 60 razy reprezentował Sejm przed Trybunałem Konstytucyjnym i ma opinię prawnika perfekcyjnego, ale zarządzanie resortem to nie to samo.

Nadzieję paradoksalnie może stanowić fakt, że nie był ordonownikiem rozdzielania funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Niczego już nie

połączy, bo rzecz się dokonała, ale może być dla prokuratury partnerem trudnym, realistą, a nie kolejnym misjonarzem, który będzie chciał od nowa wszystko budować. Może przynajmniej zaproponuje jakąś formę kontroli nad prokuraturą, tak że poprzez wzmocnienie pozycji samego prokuratora generalnego. Ta nominacja napawa optymizmem również dlatego, że mimo narzeków na krótkie partyjne ławki kadrowe błyskawicznie znaleziono posła, młodego, którego kwalifikacje są obiecujące i przez środowiska prawnicze rozpoznane. Ciekawe, dlaczego wcześniej nie mógł się przebić do tej ważniejszej partyjnej linii? Podobno nie jest zbyt biegły w zakulisowych rozgrywkach. Najwyraźniej premier Ewa Kopacz nie jest tak naiwna, jak to się tradycyjnym rozgrywającym wydaje. Może czas tradycyjnie rozgrywających też już mija?

Z okazji 1 Maja rozlała się nam do reszty Lewica, można powiedzieć, że sama siebie zdymisjonowała. Pokaz stanu rzeczy w najważniejsze z lewicowych świąt wypadł nad wyraz żałośnie. Gdzie spojrzeć, tam włos siwy, plecy pochylone i już nawet dawnych wspomnień czar nie łączy. Leszek Miller przemawiał w pustkę, kandydatka Ogórek, zresztą w zupełnie innym miejscu, snuła się w otoczeniu kilku członków sztabu, zapewniając, że będzie walczyć do końca; ktoś maszerował jedną ulicą, a ktoś inny inną. Podobno po wyborach próbują pójść gdzieś razem, a przynajmniej w większej grupie, ale przecież nie raz już próbowali. Wiary nie ma – publicznie wyznali jeden był poseł, wykazując się odwagą, bo kierownictwo trzyma linię, że jest dobrze. Nie maszerujemy, ale piknikujemy – tak chyba brzmiało naprędce uklecone pierwszomajowe lewicowe hasło, mające ratować sytuację. Piknikowanie też jednak wypadło marnie.

Paweł Kukiz coraz bardziej zadziwia prośącymi notowaniami, choć nikomu wyższej płacy jeszcze nie obiecał (przedałoby się, aby Polacy lepiej zarabiali – wzdychał 1 maja Andrzej Duda), twierdzi, że na emeryturach się nie zna, nie mówi, że da kilkaset złotych na każde dziecko, nawet nie obiecuje, że powoła jakąś radę, koniecznie narodową, a jednak mu rośnie. Wszystkich, łącznie z prezydentem Komorowskim, musi to niepokoić. Wiele bowiem wskazuje, że zamiast lewicowego Korwin-Mikiego i mocno zużytego Palikota będziemy mieli zdeterminowanego w jednej dziwnej sprawie jednomandatowych okręgów wyborczych Kukiza. Wprawdzie JOW do prezydentury mają się nijak, ale przecież nie o to chodzi. Po prostu przyszedł czas na oburzonego. I czasu na odwrócenie tendencji coraz mniej.



© DREW ANGERER/GETTY IMAGES

Niezbyt dobrzy good guys

Kryminalne zarzuty wobec policjantów odpowiedzialnych za śmierć czarnoskórego Freddiego Greya w Baltimore przyjęto w USA z dużym zaskoczeniem. Tylko część stróżów porządku zostaje tam oskarżonych za podobne przestępstwa i tylko jedna trzecia z nich dostaje skazujące wyroki. Policjantom, częściej niż innym obywatelom, udziela się „przywileju wątpliwości” (co do winy) – w Maryland i innych stanach mają oni np. więcej czasu na przygotowanie się do przesłuchań. Fory te cieszą się szerokim poparciem Amerykanów, którzy uważają na ogół, że ich gliniarze to *good guys* i w spornych sprawach mają rację. Zwłaszcza gdy chodzi o przemoc wobec Afroamerykanów.

Decyzja prokurator Mosby wygasi burzliwe demonstracje po śmierci Greya i innych ofiar policyjnej brutalności w ostatnich miesiącach. Ale czy na długo? Oskarżenie jednego z funkcjonariuszy

o morderstwo drugiego stopnia (bez premedytacji, ale ze świadomością, że może zabić) wydaje się naciągane i chyba nie doprowadzi do skazania. Cały incydent daleki jest od wyjaśnienia. Jeżeli sprawa zakończy się wyrokami uniewinniającymi, można oczekiwać kolejnej fali protestów – jak w Los Angeles w 1992 r. po uniewinnieniu policjantów, którzy pobili czarnego Rodneya Kinga. Nastroje w USA są rozhuśtane, bo nakręca je frustracja i gniew biednych mieszkańców murzyńskich dzielnic wielkich miast. Czyżby Amerykę czekało gorące lato rasowych rozruchów, jak w latach 60., co sugeruje okładka „Time’a”? Przypomnijmy tylko, że USA mają teraz ciemnoskórego prezydenta, w Baltimore rządzi także pani burmistrz, szef policji też jest czarna, a z sześciorga oskarżonych policjantów połowa to Afroamerykanie. Włącznie z Ceasarem Goodsonem, mającym zarzut morderstwa.

Konsultacje nakręcane

Viktor Orbán nie daje o sobie zapomnieć. Skoro Unia Europejska nie radzi sobie z kryzysem na Morzu Śródziemnym, to Węgry muszą porzucić brukselską pobłażliwość i samodzielnie obronić się przed zalewem nielegalnych imigrantów. Takie przemyslenia premier Orbán zawarł w liście, który w maju trafi do skrzynek pocztowych wszystkich węgierskich obywateli.

Listowi towarzyszy 12-punktowy kwestionariusz „konsultacji narodowych”, za sprawą których rząd zamierza dowiedzieć się, co Węgrzy o imigracji myślą, przy czym dobór pytań nie pozostawia złudzeń, co sądzić powinni, zwłaszcza że podpowiedzi udziela premier w liście przewodnim. Czy Węgry mogą stać się celem ataku terrorystycznego? Czy nieudolna polityka Brukseli w sprawie imigracji i wzrost terroryzmu w Europie mogą być powiązane? Czy wiesz, że ostatnio liczba nielegalnych imigrantów na Węgry wzrosła 20-krotnie? Czy nielegalni imigranci powinni być aresztowani? Czy nielegalni imigranci powinni być jak najszybciej odsyłani do kraju pochodzenia? Czy zamiast imigrantów powinniśmy wspierać węgierskie rodziny i ich dzieci?

Wtym roku w kraju pojawiły się tysiące Kosowarów uciekających przed bezrobociem w Kosowie. Ale Węgry nie przeżywały ostatnio najazdu ani z Afryki, ani z Bliskiego Wschodu. Do ksenofobii Orbána zachęca przede wszystkim topniejące poparcie, które Fidesz traci na rzecz zjadliwie nacjonalistycznego Jobbiku.



© REUTERS/FORUM

Kozioł Warufakis?

To nie był udany tydzień dla **Janisa Warufakisa**. Grecki minister finansów najpierw przestał być głównym negocjatorem w sprawach zadłużenia kraju – odsunął go sam premier Aleksis Cipras, a dzień później o mało nie dostał w zęby. Chmury zbierały się nad Warufakisem już od lutego, gdy tydzień po przejęciu ministerialnego stanowiska pokłócił się ostro z niemieckimi wierzycielami Grecji. Doskonale wykształcony i rzutki minister wyraźnie nie radzi sobie z dyplomacją – gdy wypłynęło stare nagranie, na którym pokazuje Niemcom środkowy palec, przekonywał, że to manipulacja. Unijni negocjatorzy od dawna w kuluarach przebąkiwali, że z długiem greckim jakoś sobie poradzą, gorzej z ego Warufakisa.

Anegocjacje wchodzi w decydującą fazę. Do 12 maja Ateny muszą oddać wierzycielom ponad 2 mld euro, których nie mają. Grecka prasa spekuluje, że Cipras poświęcił Warufakisa, aby dostać te pieniądze. Ten twierdzi, że nic o tym nie wie, ale najwyraźniej stracił zaufanie nie tylko premiera, ale i ludu – Warufakis dołuje w sondażach popularności, o czym siłowo chciała mu przypomnieć grupa anarchistów, próbując go pobić w jednej z ateńskich restauracji.

Bardzo Wielka Kopenhaga



© RADU SIGMET/REUTERS/FORUM

Duńcy zaproponowali Szwedom, aby obszerną część ich Skanii – żyznej, rolniczej krainy z trzecim co do wielkości miastem Malmö – połączyć wspólną nazwą

z duńską stolicą. Wielka Kopenhaga byłaby marką rozpoznawalną na świecie, a wielkie miasta są dziś jak marki handlowe. Aby przyciągać inwestorów, muszą przemawiać

do wyobraźni. Wielka Kopenhaga liczyłaby razem 3,8 mln mieszkańców, miałaby 11 uniwersytetów, 150 tys. studentów i doktorantów, słowem właściwy potencjał, żeby przyciągać nowe technologie. W istocie oprócz nowej nazwy nic by się nie zmieniło – przekonuje burmistrz Kopenhagi Frank Jensen. Już dziś istnieje przecież wspólny duńsko-szwedzki konglomerat, połączony mostem i tunelami, dający swobodę mieszkani i pracy po obu stronach cieśniny. Nazywa się Öresund/Øresund. No właśnie, kto o czym takim słyszał na świecie? Szwedzi zza miedzy przyjęli tę propozycję z mieszanymi uczuciami, wszak trwały jest tu obyczaj stałego wieszania przed domem narodowej flagi. Dlatego wyłonili kontrpropozycję: aby rzeczony obszar nazwać Scandinavia Bay Area. Raz, że to po angielsku, więc nie faworyzuje żadnego z narodowych języków, dwa: stanowi bezpośrednie odniesienie do San Francisco Bay Area, a trudno znaleźć lepsze niż to skojarzenie.

Wanda, banda i czerwony kasjer



© GETTY IMAGES

Najbogatszym mieszkańcem Azji jest dziś **Wang Jianlin**, 60-latek z Chin. Na jego imperium składają się biurowce, hotele, galerie handlowe i tysiące sal kinowych oraz firmy budowlane wznoszące wieżowce na całym świecie. Nikt w Chinach nie zbudowałby fortuny wycenianej na 35 mld dol. bez znajomości

na salonach władzy. A Wang nie tylko należy do najlepiej ustosunkowanych ludzi biznesu w Państwie Środka – prawdopodobnie jest kimś więcej niż tylko przedsiębiorcą z sukcesami. Według „New York Timesa”, który przez rok przyglądał się jego majątkowi, razem z Wangiem dorabiali się krewni wysokich dygnitarzy i rozmaici przyjaciele krewnych. Przez lata posiadali akcje grupy Wanda, zawiadującej centrami rozrywki i nieruchomości. Według „NYT” współwłaścicielką Wandy była np. siostra Xi Jinpinga, obecnego przewodniczącego ChRL i sekretarza generalnego partii komunistycznej. Do niedawna miała udziały warte ok. 240 mln dol. Wśród byłych udziałowców Wandy znajdować się miały m.in.: firma, w której pracował syn poprzedniego sekretarza generalnego (423 mln dol.), przedsiębiorstwo kierowane przez zięcia długoletniego szefa partii w Pekinie (131 mln) i firma kolegi tegoż zięcia (259 mln), kolega córki byłego premiera (259 mln) i fundusz założony przez jej brata (526 mln) itd.

Nie ma żadnych dowodów na to, by przywódcy osobiście korzystali z tych majątków. Jednak dzieci przywódców studiują na najlepszych uniwersytetach, co jakiś czas rozbijają swoje superluksusowe samochody, żony czy szwagrowie szastają pieniędzmi, a sami politycy pływają w luksusie. I trudno uwierzyć, że na to wszystko odkładają z pensji, skoro państwowe uposażenia Xi Jinpinga, najważniejszego z nich, wzrosło w styczniu o 62 proc. – do 1830 dol. miesięcznie.



© REUTERS/FORUM

Wpływowa księżniczka

Na pięć dni przed brytyjskimi wyborami przyszła na świat prawnuczka królowej Elżbiety – córka księstwa Cambridge, czwarta w linii dziedziczenia tronu. Chociaż Brytyjczycy oszaleli na punkcie drugiego dziecka **Kate i Williama**, politycy różnej maści prześcigali się w gratulacjach, a konserwatyści zaczęli ogłaszać, że mała księżniczka podniesie wyborców na duchu, to jednak doświadczenie pokazuje, że na ostateczny wynik wyborów raczej nie wpłynie. Wracając pamięcią do 2013 r. i dnia, kiedy na świat przyszedł pierworodny książę Jerzy: wcale to nie pomogło Partii Konserwatywnej wybić się na czoło peletonu, nadal goniła Partię Pracy, która prowadziła w sondażach.

Ale jest pewien efekt trudny do przewidywania i oszacowania. W tym książęcym radosnym rozgardiaszu ludzie całkowicie przestali myśleć i mówić o wyborach. Co oznacza, że politycy stracili szansę, żeby w ostatniej chwili przekonać do siebie niezdecydowanych. Jak to się odbije na składzie przyszłego rządu, zobaczymy już za tydzień.

Dziesięciu na jednego

Paradoks wyborów 10 maja polega na tym, że mimo marnej kampanii, ich stawka jest wysoka. Chodzi o to samo co od 10 lat. Górą ma być PO czy Kaczyński, III czy IV RP?

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA

Wiele o tej kończącej się kampanii mówi to, że właściwie w żadnym przypadku nie była udana, jeśli wziąć pod uwagę punkt startu kandydatów. Andrzej Duda, z wielkim wysiłkiem, po pół roku od zgłoszenia i przez kilka miesięcy intensywnej kampanii uciułał około 10–12 proc. ponad to, co miał na początku batalii, a i tak (według sondaży) nie osiągnął poparcia, jakie ma samo PiS. Gdyby wystartował Jarosław Kaczyński, od razu zapewne zyskałby te swoje żelazne 30 proc. bez wydawania milionów złotych z partyjnej kasy. Tyle kosztowało zachowanie prestiżu prezesa, czyli uchronienie go od porażki.

Bronisław Komorowski z trudem wyhamował spadki w notowaniach i zatrzymał się na poziomie około czterdziestu, czterdziestu kilku procent. Niewykluczone, że i bez żadnej kampanii tyle by osiągnął – bo taki jest mniej więcej zasób Platformy plus zwyczajowa premia dla urzędującego prezydenta – a uniknęłaby coraz bardziej przykrych sytuacji podczas wyborczych wieców.

Przyrostu praktycznie nie miał Janusz Korwin-Mikke, Magdalena Ogórek kampania przyniosła spadek rankingu (zaczynała od 6 proc.), podobnie jak Adamowi Jarubasowi. Jedynie Paweł Kukiz, na którego nastąpiła po prostu fala, miał wyższe notowania. Ten bilans pokazuje jałowość starań, słabość pretendentów do zajęcia miejsca Komorowskiego i brak pomysłów na autokreację. Może ostatnie dni przed głosowaniem zmieniać coś jeszcze w preferencjach wyborców, ale przełomu trudno się spodziewać.

Także dlatego, że treści i estetyka tej kampanii były głęboko rozczarowujące, pisaliśmy niedawno wręcz o wrażeńi żenady, największej w ćwierćwieczu. Kompetencje dużej części kandydatów nie upoważniały ich w żaden sposób do startu w tych wyborach. Ogłaszali oni „programy”, których spełnienie nie od nich zależy, i atakowali obecnego prezydenta, że nie zrealizował swoich rzekomych obietnic, czyli że za mało wetował. Spoty wyborcze w wielu przypadkach w swojej stylistyce cofnęły się do lat 90. Poziom zrozumienia spraw międzynarodowych i obronnych, a więc najbardziej leżących w gestii głowy państwa, był zastraszająco niski. Pojawiły się dawno niesłyszane w polskiej polityce motywy antysemitki.

Nikt z pretendentów do zajęcia miejsca Komorowskiego nie pokazał charyzmy, siły osobowości, wdzięku, umiejętności komunikowania się, które wykraczałyby ponad przeciętność. Ujawniła się natomiast jakaś prowincjonalność, małostkowość, wosbnosć naszego życia publicznego. Sami oddalaliśmy się od światowej debaty, skazujemy na zaścianek. Jak to trafnie określił niedawno jeden z publicystów, polska polityka mentalnie jest na poziomie „gazu i jabłek”. Podobnie jak w czasie negocjacji przed wstąpieniem



Rozpoczęcie sezonu turystycznego na Zalewie Zegrzyńskim. Na pokładzie: prezydent Bronisław Komorowski z Mateuszem Kusznierevichem.

do Unii Europejskiej, gdzie sprawa cywilizacyjnego awansu mogła się rozbić o mleko i cukier. Polska polityka wciąż nie jest w stanie „produkować” więcej osobowości niż dwie, trzy na dekadę. Po Kwaśniewskim przyszedł Tuski, po całej prawicowej chmarze nastał Kaczyński, postać duża i organizująca katolicko-narodową wyobraźnię, ale akurat oni nie stanęli do tych wyborów.

Bronisław Komorowski wykonał dużą pracę nad sobą, ale przyszło mu stanąć do walki z tymi, którzy nie wykonali żadnej pracy. Nie ujawniły się nowe postaci, mogące wyjść poza żelazną premię 10 proc. za nowość, zbieraną najczęściej od dość naiwnych wyborczych debutantów. Kiedyś był to Janusz Palikot, teraz jest nim Paweł Kukiz, ale to wszystko jest prowizoryczne, bez żadnej gwarancji trwałości i solidności, a akurat urząd prezydencki jest „klasyczny”, smokingowy, w swojej istocie zachowawczy: albo ta funkcja na kimś leży, albo smętnie wisi, i to widać od razu.

Nasze życie publiczne cierpi właśnie na dotkliwy brak polityków prezydenckiego kalibru. Takich, którzy już na etapie kampanii zachowują się jak przyszli prezydenci, powstrzymują język, unikają sądów radykalnych i niemądrych, zachowują powagę. Nie udało się to nawet niby poważnemu Andrzejowi Dudzie, któremu dziś Polska przypomina „państwo totalitarne”. A tylko ten rodzaj umiarkowania i odpowiedzialności jest w Polsce premiowany dwiema kadencjami prezydentury: najpierw Kwaśniewskiego i teraz, zapewne, Komorowskiego. Nieprzypadkowo politycy bardziej



© ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

„wyraziści” i ekspansywni, jak Lech Wałęsa i Lech Kaczyński, mieli z drugą kadencją – ogólnie mówiąc – spory kłopot.

Pięć lat temu o nominację Platformy starali się Komorowski i Sikorski, i przy rezygnacji Tuska były to oczywiste kandydatury. Ale gdyby sięgnąć po inne, okazałyby się to trudne. W PiS, kiedy zabrakło Lecha Kaczyńskiego, który przy wszystkich swoich słabościach był postacią odpowiedniego formatu, problem jest jeszcze większy. Funkcjonują setki polityków, posłów, działaczy, specyficznych pracowników polityki, ale nie ma ludzi, którzy zdecydowanie wyrastają ponad innych. Jakby ujawnił się nieoczekiwany aspekt demokracji, każący zrównywać polityków do jakiejś niskiej średniej, żeby nikomu nie było przykro.

Może ostatnimi postaciami w kampaniach uosabiającymi cechy prezydenckie (choć niewygrzającymi) byli Andrzej Olechowski, Włodzimierz Cimoszewicz czy Marek Borowski. Takich postaci teraz zabrakło, stąd wrażenie stagnacji czy wręcz cofnięcia się polskiej polityki, i to w czasie kiedy światowe wyzwania są największe od dekad.

W efekcie jedynym istotnym pytaniem tej kampanii było to, czy kandydat PiS stanie się rzeczywistą konkurencją dla urzędującego prezydenta. Duda rozpoczął swoją kampanię z impetem, na bogato. Nie brakowało słów zachwytu, że oto pojawił się polski Kennedy, młody, dynamiczny polityk. Zaczął Duda przy pełnym wsparciu Jarosława Kaczyńskiego, ale też wyraźnie chciał spodobać się szerzej, przekonać do siebie opinię publiczną albo unikając zaangażowania politycznego, albo ostrożnie nieufną wobec PiS. Chciał być pisowcem, ale ta-

kim, który się nie zaciąga. Zatem unikał sztandarowych tematów swojej formacji, często nie wiedział, co ma myśleć, jak też co myśli jego partia. Miał opracowany zestaw haseł i ogólnie słusznych stwierdzeń, że gdy będzie prezydentem, to wszystkim będzie lepiej, państwo będzie sensowniej zorganizowane, gospodarka bardziej wydajna. Gorzej jednak było, gdy przychodziło do szczegółów i gdy musiał Duda brać poprawki na kurs, który przyjęła jego partia, kiedyś albo dzisiaj.

W końcowej fazie kampanii, kiedy okazało się, że wciąż mu brakuje do notowań PiS, sztabowcy wyraźnie go utwardzili i posłali do mediów o Rydzyka, gdzie opowiadał już typowo pisowskie klechdy. Upisowanie kandydata wydawało się jego sztabowi konieczne, bo zauważyli, że może być problem nawet z zebraniem elektoratu PiS. Mocno zaniepokoiło się środowisko „niepokornych”, którzy po początkowych fanfarach i zastanawianiu się tylko nad rozmiarami zwycięstwa Andrzeja Dudy nagle zaczęli dostrzegać marazm jego kampanii, ogłaszać konieczność przyspieszenia, włączenia drugiego biegu itd. To nie nastąpiło. Sukcesem Dudy ma być więc teraz sama druga tura, o końcowym zwycięstwie mówi się już wyraźnie mniej. Można więc powiedzieć, że kampania Dudy, której celem było przecież, poza przejęciem całego pisowskiego elektoratu, mocne wyjście poza niego – tylko wtedy udałoby się pokonać Komorowskiego, co uznawano za pewnik – zakończyła się porażką.

Prezydent Komorowski rozpoczął dość wolno, ale potem szedł krokiem równomiernym i stanowczym.

Podkreślając konieczność „zgody i bezpieczeństwa”, rysował swój urząd na skromną, realistyczną miarę, taką jaką skrojono w konstytucji, ale wydaje się, że trafiał tym w intuicyjne oczekiwania wobec tej funkcji. Prezydent w polskim systemie to w istocie urzędnik od spraw zgody i bezpieczeństwa, ciągłości państwa, namysłu nad głębszymi politycznymi procesami. To funkcja w dużej mierze godnościowa i reprezentacyjna, gdzie nie ma miejsca na ekstrawagancje, ostentacyjne rywalizowanie z rządem, a nawet na nadmierną aktywność, nadobecność (czytaj też – s. 12). „Zmiana wszystkiego”, co postulowało wielu kandydatów, to nie jest cecha polskiej prezydentury.

Przewidywalność i doświadczenie są zatem walorami wyborczymi Bronisława Komorowskiego, który, mimo trudnych początków, dorósł do urzędu i – w odmienny sposób niż Kwaśniewski, ale podobnie jak on – spełnia wyobrażenia o roli głowy państwa. Niejako z urzędu rozpoczął od bardzo wysokich sondaży, by – w konkurencji z dziesiątką bijących przecież tylko w niego, a nie w siebie nawzajem, konkurentów – obniżyć swoje notowania, co było zupełnie naturalne. Walka oczywiście zradykalizuje się w drugiej turze, która jest bardzo prawdopodobna. Wtedy to będzie jeszcze bardziej walka PO z PiS, a dokładniej PiS z „nie-PiS-em”. W drugiej turze ważne będzie, na kogo przerzucą swoje sympatie wyborcy „antysystemowi”, zwłaszcza Pawła Kukiza. Komorowski wydaje się bardzo systemowy i establishmentowy, ale PiS, ze swoim programem scentralizowanego, poddanego kontroli służb, prokuratury i policji państwa, też się mocno kojarzy z systemem, w dodatku opresyjnym. Dopiero zatem wyniki drugiej tury pokażą, kim są naprawdę wyborcy rockmana-polityka.

Paweł Kukiz to niewątpliwie mała sensacja tych wyborów. Z pomysłu na jednomandatowe okręgi wyborcze, o których już mało kto chciał słuchać, zrobił koło zamachowe dla zmiany ustroju i złamania Systemu. Nieoczekiwanie kupuje tym względnie niemającą część wyborców, także z mainstreamu, którym nie przeszkadza jego stwierdzenia, rodem z PiS, o „eksterminacji polskości” i „wygaszaniu Polski”. Może dlatego, że emanuje pasją, że chce robić wrażenie apolitycznego, antyelitarnego. Na tej fali może powstać jakiś ruch operujący prostymi pojęciami i niewolny od wdzięku naiwności i szczerości. To taka polityka dla początkujących. Jakies plus minus 10 proc. w wyborach parlamentarnych można na tym utargować i przy ich pomocy układać się z innymi pomniejszymi, choćby z Korwin-Mikkem, bądź targować się z większymi. ►